Nr. 9. Lwów dnia 30. Marca 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Swicie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

O satyrykach polskich XVII wieku.

studyum literackie

przez

Dr. Adama Bełcikowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Z tych to powodów osobistość autora Satyr od czasu ich pojawienia się, była dziwnem zjawiskiem w naszej literaturze. Nie wiedziano, jakie wyrzec o niej ostateczne słowo, czyli potępić tę bezwarunkową surowość i nieuzasadnioną wyraźnie przesadę, czy też uznać zasługę męża, który z nieugiętością Katona ośmielił się rzucić swym ziomkom nagą prawdę przed oczy. Zostawiono ją więc niewytłómaczoną i w półcieniu — jakby zostawiając do wyboru, czyli kto woli widzieć rzucone na nią ciemność czy światło. Kochowski napisał o nim w Klimakterach, mówiąc o jego śmierci: „Opaliński znakomity nauką, wymową, powagą senatorską, odznaczał się w sprawach publicznych. Od Władysława IV. wysłany w poselstwie do Francyi po królowę Ludwikę, przyczynił zaszczytu swemu narodowi a sobie sławy, lecz sądząc, że nie został w miarę zasługi nagrodzony, wziął z tego pochop do skrytej nienawiści. Po publicznych zajęciach oddawał się literaturze... i sam wydał książkę pod tytułem: „Przestrogi,“ która w ojczystym języku napisana, rzymskim oddycha wdziękiem i dowcipem. Szkodliwem było dla sławy tego znakomitego męża, że pod koniec życia w wojenne zadał się trudy, gdyż jego mienią sprawcą przyjęcia protekcyi szwedzkiej.“

Łagodniejszy jeszcze sąd o jego charakterze i roli politycznej wydał Rudawski. „Był to mąż wysokiego umysłu... Bardzo wielu ganiło mu wielkie rozumienie o sobie, ale mała to skaza w mężu senatorskiej godności.“ Potocki Paweł (w *Centuria virorum illustrium*) chwali jego „rzadką uczoność i nieporównaną a wdzięczną godność formy.“ Krytyk Braun na początku XVIII wieku (1723) pierwszy powstał przeciw przesadnej pochwale zalet poetycznych w Satyrach. „Co do poetycznej wartości, powiada, za wiele mu przypisuje Kochowski, nie ma bowiem wdzięku (*venustas*) albo bardzo rzadki w tych wierszach, a sztuka poetyczna prawie żadna, zwłaszcza w porównaniu z Kochanowskim, Twardowskim i innymi znakomitymi poetami polskimi. Rzeczy prawdziwe wydał on w pospolitych wierszach i błędy Polaków w rządzie, w religii, na wojnie, w wychowaniu, w zbytku, życiu i obyczajach, tak duchowieństwa jak szlachty, mieszczan i chłopków otwarcie karci i sądzi, naśladując Juwenala i Perzyusza. Oby ludzie (dodaje na pochwałę Opalińskiego), gdy nie chcą się kajać Boga surowemi napomnieniami, zechcieli smagani podobnego rodzaju sarkastycznemi pismami, zrozumieć i uprzedzić grożące im niebezpieczeństwo. Zresztą moralnego człowieka książka ta zabawi, występnego sprawiedliwie skarci.“

Takie zdania o autorze Satyr wychodziły na widok publiczny ze strony ludzi jemu współczesnych lub najbliższych czasem. One to już postawiły tę postać w dwóznacznym półcieniu — obok pochwały zdolności i wysokiego umysłu, kazały się domyślać pewnej skazitelności w charakterze. Ale surowsze były te, które prywatnie z rąk do rąk, w rękopisach rozchodziły się po kraju, nie mając odwagi ukazać się na światło dzienne, ale i przedmiot swego potępienia wciągając ze sobą w ciemności. Na autografie Satyr Opalińskiego współczesna może jemu ręka umieściła napis łaciński, podany naprzód przez Załuskiego do wiadomości powszechnej: „Autorem tej książki jest C. O. P. P. ten sam, który był szczególnym doradzcą i sprawcą poddania Wielkiej Polski Karolowi Gustawowi, zkąd takim ktoś skarcił go epigramatem:

Opaliński! występki któremi tchniesz cały
Zarzucasz innym, a sam pełen jesteś zbrodni.
Prawdziwe czy zmyślone zarzucasz im błędy,
Wiedz to, że są źli ludzie, aleś ty najgorszy.
Niesłuszność, niepobożność i zgwałcona wiara,
To jest w tym, to jest w owym, a w tobie zaś wszystko.
Tyś Szwedowi królestwo, króla, wszystkie prawa
Zaprzedał — wstydźże się więc i żałuj na wieki.“

W podobnym duchu odzywał się także wiersz p. t. „Orzeł do Wielkopolanów na przyjazd króla szwedzkiego do Gniezna“ i inny znajdujący się w rękopisie w Bibliotece Ossolińskich p. t. „Na Satyry pisane w r. 1650, respons Pana Marcina Nieborowskiego, Podkomorzego Sochaczewskiego 1658“ — gdzie mówi do Satyra:

A ty jakobyś nie w Polsce schowany,
Żeś nie Polskiego widzę nie ulubił,
I owszem ostrem piórem jej zwyczaje
Zcenzurowałeś i podałeś światu,
I tej cnej matce, która cię zrodziła,
I tak wysoką uczciła godnością
Należytego odjąłeś honoru,
Formując dyskurs do swego humoru,
Po którym cię znać, nie dzikiego męża.
Znać dobrze, żeś się schował między ludźmi,
Obce narody ciekawie zwiedziwszy,
Cudzoziemskich się napiłeś humorów
I staropolską zmieniwszy naturę,
Przystroiłeś się całe w cudzą skórę,
Przeto do ładu nic ci nie przypadło.
Cokolwiek w naszej Polsce się znajduje,
A satyryckie byś napełnił karty,
Wszystkoś upatrzył, wszystkoś ponotował...
A byłożby też co pisać o tobie,
Byś nie spoczywał pod zimnym kamieniem...

Co dalej następuje, jest wyliczeniem politycznych grzechów Opalińskiego.

Podobnie sprzeczne sądy przeszłości: z jednej strony znakomite imię pozostawione na kartach naszych historyków, a z drugiej obrzucone hańbą przez głos opinii, obudzały zawsze ciekawość poznania tej dwulicowej osobistości, a zarazem i chęć ocenienia, o ile możemy zawierzyć słowom Satyr i z charakteru poznać prawdę albo fałsz jego obrazów. Najwięcej dotąd zajął się tą sprawą zasłużony nasz historyk Szajnocha, poświęciwszy Opalińskiemu osobne studyum. Rezultat jego badań wypadł bardzo niekorzystnie dla autora Satyr. Oprócz poddania Wielkopolski Karolowi Gustawowi, które już przez dawniejszych historyków wspomniane dotąd głównie na pamięci Opalińskiego ciężyło, przypisał Szajnocha jemu także poduszczanie do rokoszu Beresteckiego, w skutek którego odniesione świeżo nad Kozakami zwycięztwo żadnej korzyści nie przyniosło i wykazał jego ciągłą opozycyę przeciw królom, wynikłą jedynie z pobudek osobistej urazy i dumy.

Biorąc zatem Satyry do ręki trzeba mieć w pamięci charakter i usposobienie ich autora — to nas nauczy, jakiem okiem na jego dzieło patrzyć się mamy. Opaliński wziął się do pisania w czasie, kiedy popadł w niełaskę u Dworu, a raczej kiedy zawiedziony w uroszczeniach, z dumą i zawiścią go porzucił. Był to zarazem czas wielkich nieszczęść krajowych (początek panowania J. Kazimierza), czas zamieszek, nieładu i rozstrojenia umysłów. Wolny od zatrudnień publicznych, a posiadający z natury czynnego ducha, postanowił zużytkować jego siły na innem polu i wziąwszy pióro do ręki rozmyślał, co ma pisać: historyę czy rymy? sielanki czy pieśni?... Ale widok stanu Rpltej, powszechnie panujące złe obyczaje, jak o tem powiada w Przedmowie, a my możemy dodać, że i nastrój własnego ducha, zaczęły mu kreślić przed oczami obrazy zasługujące na chłostę— i w ten sposób powstały Satyry.

Nie można przeczyć, żeby w nich nie było wiele prawdy. To co Opaliński powiedział, potwierdza w znacznej części historya i niejeden z ówczesnych poetów, jak Twardowski, Wacław Potocki, Kochowski, których nie można posądzić o złośliwą zawziętość i nieprzyjazne uczucie dla swych ziomków. Wyrazy ich są nieraz równie gorzkie, a oburzenie graniczy prawie z rozpaczliwem potępieniem. Ale posiadają oni przy tem to, czego brak zupełnie w Opalińskim czuć się daje, a mianowicie łagodzą oni ostrość swych wyrzutów współczuciem i żalem spoczywającym na dnie ich serca. Tego właśnie nie dostaje Opalińskiemu. Jest to niby nieubłagany sędzia, który wyzuwszy się z ludzkich uczuć i trzymając się tylko całej surowości litery prawa, wydaje bez litości wyroki na potępionych z zupełnem przeświadczeniem, że winnych tylko zasłużony los spotyka. Zdaje się, jakoby Opaliński pisząc Satyry zerwał wszystkie nici sympatyi łączące go z narodem i krajem. I rzeczywiście, obrażona duma odziała jego piersi w taki stalowy pancerz. Czuł on w sobie, może być że i całkiem słusznie, siły i zdolności do przewodniczenia braci szlachcie i do wodzenia reju na polu dyplomacyi i polityki. Z natury, choć może i z obrachowania, był on trybunem szlacheckim, gardłującym za całością swobód swego stanu w obec królewskości. Pomimo jednak tego nieprzyjaźnego stanowiska, jakie zabrał względem tronu, pragnął również, ażeby dwór królewski starał się o zjednanie go sobie i sam przyciągnął go do siebie, aby tym sposobem stanął w pośrodku między tronem i najbliższymi jego doradzcami a między szlachtą jako rozjemca narodowy, trzymający w swym ręku togę pokoju lub wojny między spierającymi się stanami.

Od obu jednak stron doczekał się zawodu. Szlachtę odstręczyła od niego wielka ambicya magnata, a dwór i króla dumna postawa trybuna. Dlatego to uderza Opaliński w Satyrach obosiecznym mieczem, wyrzucając stanowi rycerskiemu nieposłuszeństwo i nieuszanowanie królów i wystawiając tych ostatnich jako męczenników szlachty, a z drugiej strony obwinia monarchę o kierowanie się cudzoziemczyzną i zagraniczną, wstrętną dla uczucia polskiego polityką.

Powtarzamy, trudno zaprzeczyć, że Opaliński wypowiedział bardzo wiele gorzkiej prawdy, ale ponieważ jej nie złagodził ani powabem sztuki ani ludzkością duszy, satyry jego raziły zawsze i rażą zbyt ostrymi rysami i nad miarę ciemnym kolorytem, który autor nieraz z demoniczną jakąś złośliwością na swych obrazach rozpościera.

Oprócz uprzedzenia do swego narodu, pochodzącego z pewnej urazy i zawiedzionej w nadziejach dumy, był może jeszcze drugi powód, dlaczego Opaliński swych ziomków w ten sposób potępił. Domyślamy go się ze słów przytoczonego wyżej wiersza Nieborowskiego, który jako współczesny autorowi mógł znać jego charakter i zapatrywanie się na rzeczy. Otóż Nieborowski wyrzuca mu to szczególnie, że rozmiłowawszy się w obczyźnie, utracił zmysł do należytego i sprawiedliwego pojmowania stosunków rodzinnego kraju. Podobne sfałszowanie sobie wzroku przez zapatrzenie się dłuższe w jakiś przedmiot, jest nie tylko prawem fizyologicznem ale i psychologicznem. Mamy nawet jedną Satyrę Opalińskiego, w której mówiąc o zarozumiałych nieukach i niedowarzonych erudytach w Polsce, stawia naprzeciw temu, i bardzo słusznie, stan naukowości zagranicą, gdzie niezadawalniają się pozornym blichtrem, ale nauki gruntownie uprawiają i wiedzę z pierwszego źródła biorą. Wiemy nadto, że Opaliński kształcił się i podróżował zagranicą, że tam miał związki i znajomości z wielu naszymi ludźmi — możemy zatem wierzyć temu twierdzeniu, że Opaliński pod pewnym względem kierował się pojęciami zagranicznemi, że było wiele rzeczy w Polsce, na które patrzył niechętnem lub lekceważącem okiem.

(C. d. n.)

W KRAINIE SZTUKI,

prolog alegoryczny

przez

BRONISŁAWA ZAWADZKIEGO. *)

OSOBY:

TRAGEDYA.
KOMEDYA.
MUZYKA.
GENIUSZ HISTORYI.
KAPŁANKA.
PIERWSZY } uczniowie sztuki.
DRUGI }
CHÓR uczniów płci obojej.

Scena: w ogrodzie Muz.

Teatr przedstawia ogród napełniony kwiatami i dziełami sztuki. Posągi, kolumny wiązane arkadami, około których wije się laur; roślinność południowej Grecyi: cytryny, pomarańcze, drzewa oliwne i palmy. W głębi świątynia w stylu greckim, otoczona jońską kolumnadą; na frontonie jej symbole sztuki. Na proscenium po obu bokach wznoszą się posągi Szekspira i Moliera.

INTRODUKCYA.

Uczniowie sztuki płci obojej w strojach greckich.

SPIEW.

CHÓR: U świętych progów sztuki
Tęskną stoimy drużyną,
Pragniemy światła, nauki
I natchnień, co z góry płyną.
Kapłanko! otwórz nam
Podwoje świętych bram,
Błagamy Cię spragnieni
My, sztuce poświęceni.

(Powyższe słowa stanowią temat dla dowolnej kompozycyi muzycznej i powinny uledz rozłożeniu na głosy i recitativa.)

Scena pierwsza.

Muzyka zmienia melodyę i wyraża zbliżanie się powietrznego zjawiska. W grupie uczniów trwoga i zachwycenie.

SPIEW.

UCZEŃ PIERWSZY: Lecz któż to zbliża się
Zwinięty w srebrnej mgle,
Zapachem tchnący róż,
A w oku pełen burz,
Wyniosły jego chód?

CHÓR: To cud! to cud! to cud!

(Słowa chóru są znowu tematem dla obszerniejszej kompozycyi muzycznej.)

DRAMAT.

W obłoku płynie postać alegoryczna: „Tragedya" w kostiumie Muzy greckiej przy towarzyszeniu muzyki i zatrzymuje się nad grupą.

TRAGEDYA: Jestem tragedyą! panią w tym gaju,
Gdzie tryska źródło piękności,
A wy z ziemskiego przybysze kraju
Niesiecie jakie nowości?
Czy chcecie rzucić w poezyi rolę
Ludzkiego grzechu nasienie,
Lub też w szlachetnym ducha mozole
Przeczyste zdobyć natchnienie?

UCZEŃ DRUGI: My Tobie służyć pragniemy szczerze,
Patrz, święty zapał nas wieńczy!
Niesiemy sztuce w chętnej ofierze
Cały nasz ogień młodzieńczy!
Lecz Ty nam odsłoń świat ideału
I twórczość posiej nam w duszy,
Błagamy Ciebie mową nieśmiałą,
Aż siłę tajemnic skruszy,
W których odwiecznej mgle otulone
Pojęcie Twoich prawideł,
Więc tajemniczą odchyl zasłonę
I chęciom naszym daj skrzydeł!

TRAGEDYA: Młoda drużyno wybrańców sztuki,
Gdy iskry Boże masz w łonie,
To ja ci Boże wskażę nauki,
Treść mego bytu odsłonię.
Ku ideału dążąc wyżynom
Miej duszę nieskazitelną,
Bo tylko wtedy natchnienia płyną
Krynicą ztąd nieśmiertelną,
Gdyście na sercu biali i czyści
Harmonię sztuki pojęli
I z czół zmazali piętno zawiści,
Która stworzony świat dzieli.
Nie wolno wnosić pod me sklepienia
Myśli zmąconej żądzami,
Ani pożyczać sztuki promienia
Dla grzechu, co duszę plami.
Bądźcie skłonnymi do pięknych wzruszeń,
Rzucajcie klątwę na zbrodnie,
By ustrzedz ludzkość od złych pokuszeń,
Trzymajcie cnoty pochodnie.
Wielka cześć będzie waszym udziałem
O moi młodzi artyści!
Jeżeli każdy swem życiem całem
Ten urząd kapłański ziści.
Ja w świecie sztuki dosięgam głową
Szczytów najwyższej piękności,
A moich kształtów wieczną osnową
Człowieka są namiętności.
Jego natury cichą treść badam,
Serca mu jestem zwierciadłem
I aureolę męczeńską składam
Herosom w boju przepadłym.
Kreślę duchowych walk tajemnice
I tryumf Bożej idei,
Dlatego gromem płoną me lice
A z czoła mi burza wieje.
Przez mgłę stuleci patrzę ze drżeniem
Na boleść ludzkich mozoleń
I łagodzącem sztuki wejrzeniem
Przewiewam tłumy pokoleń.
Patrzałam okiem starca Eschyla
Na pierwszy dziejów początek
I jak się z baśni prawda wychyla
Poezyi snułam z niej wątek.
W napółmitycznych Grecyi powieściach
Ducha szukałam podźwięków,
W Prometeusza skalnych boleściach
Słuchałam ludzkości jęków.
Malując smętne Edypa dzieje
Przeklęłam losu ironię,
A znów miłości kreśląc koleje
Śpiewałam o Antygonie.
Potem z węzgłowia mojego tronu
Milczałam długo uśpiona,
Aż się ocknęłam z wieszczem Albionu
Potężna i odrodzona.
Szekspir wszechwładnym pojął mię duchem
I prądy ludzkości zmierzył,
Wsłuchał się w dzieje genialnym słuchem,
Piorunem w zbrodnie uderzył.
Pod jego rylca śmiałem dotknięciem
Wstawali ludzie z nicości,
A on w nich wkładał sztuki zaklęciem
Ideje i namiętności.
Wszystko, co było w jego natchnieniu
Wabiło wdziękiem natury,
Nawet przy prawdy ciepłym promieniu
Łagodniał Hamlet ponury.

---

*) Ogłaszamy drukiem ten prolog w przededniu otwarcia nowego teatru, jakkolwiek napisanym był w r. z. na inny cel, ale chwila dzisiejsza ma wiele podobieństwa do owej i te same w duszy wywołuje myśli. *(Przyp. aut.)*

*

Dziś znów po długiej, bezwładnej ciszy
W słowiańskiej chcę odżyć mowie,
A kto wezwanie moje posłyszy,
Laur mu położę na głowie.
W Polsce ja śledzę wieszczów przyszłości
I młodych artystów szukam,
Coby tragedyi wzniosłe piękności
Zmysłową oddali sztuką.
Chcę, aby słowa moje padały
Jak rosa na kwiat uwiędły
I by się każdej duszy zbolałej
Różane wianki z nich przędły.
Dla takich celów, o plemię młode
Ku mojej służbie cię wzywam,
Na skroń twą zlewam Kastelską wodę
A sama w mgle się rozpływam.

SPIEW.

CHÓR: U Twych ołtarzów czoło skłaniamy,
Na wierną służbę ci przysięgamy
Nasza królowo!

Wszyscy pochylają czoła — „Tragedya" przesyłając im ręką pożegnanie odpływa. Muzyka wyraża oddalanie się powietrznego zjawiska, poczem przechodzi w tempo wesela i tryumfu.

CHÓR: Uderzmy w hymn wesela,
Bo wysłuchano nas
bis } Kto tryumf nasz podziela,
Niech spiew zanuci wraz!
O! jakiż szał wesela
Przejmuje dzisiaj nas
bis } Kto tryumf nasz podziela,
Niech spiew zanuci wraz!

(Dok. n.)

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Rozmowa z cząstkowej stała się wkrótce ogólną. Z prostego dyalogu o codziennych komunałach, przeszła nieznacznie do narracyi anegdotycznej i legendarnej. Konzul Tom opowiedział straszliwą jakąś historyę o wampirach wysnutą z ludowych przesądów Mołdawii. De Ribas naszkicował lekką winietkę romantycznych przygód, niepomnę czyich. Langeron wygłosił zabawną jakąś powiasteczkę z epoki amerykańskiej wojny o niepodległość. Przyszła kolej na komendanta portu Silvo. Była już o nim wzmianka w poprzedniczych rozdziałach *Kalejdoskopu* i jeżeli łaskawy czytelnik raczy sobie przypomnieć, rozwiodłem się dość obszernie o wyłącznej naturze tego ze wszech miar znakomitego człowieka. Lubiono powszechnie narracyę jego dla wybitnej oryginalności, jaką się odznaczała. Lubiono i jego samego, bo niepodobna być przyjemniejszym od niego. Damy, których był ulubieńcem, napadały nań, żeby coś opowiedział. Księżna Sutzo, pani Korsi i pani Turkułłowa chciały koniecznie, żeby treścią opowiadania były własne jego przygody, których nie mało musiał doświadczyć na lądzie i morzu.

— Trudnej rzeczy wymagacie po mnie panie! — rzekł z uśmiechem zacny staruszek.

— Dla czego trudnej? — zapytały damy.

— Bo albo coś powiem dobrego o sobie, albo coś złego. W pierwszym razie pomyślicie żem samochwał, w drugim żem głupi lub ladaco.

— Nie dopuszczamy nic złego w przeszłości takiego człowieka, za jakiego cię mamy, kochany pułkowniku.

— Dzięki składam paniom moim za dobrą opinię. Bywały jednak chwile w życiu mojem, w których nie byłem jej godnym.

— O co to, to nieprawda! — zawołały damy jednogłośnie.

— Prawda, niestety! kochane panie! Istotna prawda! I cóż w tem dziwnego? Wszak niema takiego człowieka, coby się mógł pochwalić, że nigdy nie pobłądził rozumem, lub nie zgrzeszył sercem. Nić życia nie zawsze biała. Często ją pył zdrożnych porywów opruszy i splami. I być nie może inaczej. Wszyscyśmy bowiem, jak słusznie powiedział Bajron, dziećmi błędu i śmierci, których nadzieje spoczęły na trzcinach. *) Ponieważ każecie opowiem, jak umiem, co mi się w młodości wydarzyło, ale dla większej jasności zacznę *ab ovo*, to jest od pierwszego głupstwa, jakie popełniłem, co ma znaczyć: od mego urodzenia. Rodzice moi mieszkali w Grenadzie. Ojciec był nauczycielem parafialnej szkółki, za co odbierał dostateczną pensyę, żeby mieć rok cały adwent i suchedni w swoim domu. Za to otrzymał od władz miejskich koncesyę nieograniczonego przywileju skręcić sobie kark choćby dziesięć razy na dzień, zstępując codziennie z wyżyn trzeciego piętra na ulicę przez okno, za pomocą wątłej i pozbawionej kilku szczebli drabiny, bo schody leżały od dawna w gruzach, a miasto nie myślało nawet o restauracyi onych. Cichy i pełen rezygnacyi Don Alonzo, mój ojciec, zamiast podnieść głos w obronie publicznego porządku, a tem samem i własnego bezpieczeństwa, wolał milczeć i znękane pracą siły do mozolnych eksperyencyi gimnastycznych przymuszać. Lecz matka moja, Donna Elvira, córa maurytańskiego rodu, pałająca ogniem krwi rycerskiej *abencerrażów* i *zegrych*, nie podzielała wcale pobłażliwej rezygnacyi męża. „*Caramba!*" — wykrzykiwała bywało w porywie oburzenia — „tyś gorszy od baby, Alonzo, że tak pozwalasz grać sobie po nosie. Gdybym chodziła nie w swojej skórze a w twojej i miała jak ty honor nosić tytuł magistra salamankskiej wszechnicy, dawno bym sobie dała radę i nie raczkowałabym po twojemu od lat pięciu po drabinie dla tego tylko, że się podobało panom radnym być gnuśnymi pasibrzuchami i nie dbać o nic! Co to my sowy, czy puszczyki, żeby siedzieć w tej starej ruinie, co jeszcze króla Boabdila pamięta i grozi co chwila runąć na głowy nasze?..."

Na ten wybuch żoninego oburzenia ojciec mój zwykł zawsze odpowiadać spokojnie następną filozoficzną formułą:

— Cóż poczniemy Donna Elviro? *Mundus est perpetua ruinarum ruina* *)—jak się wyraził uczony Isidorus Pelusiotes. Taka rzeczy kolej!

Te słowa flegmatycznie skandowane podwajały jeszcze, ma się rozumieć, impet matki mojej, patrzącej na życie pozytywnie, jasno i zdrowo nie zaś według jałowych sentencyi i aksyomów.

— *O! rabia!*— wołała podboczywszy się sposobem etruskiej amfory — kiedym nazwała ciebie babą, nadto

*) *Poor child of Doubt and Death, vhose hope is built on reeds.*

*) Swiat jest wieczną ruiną ruin.

ci pochlebiłam! Gdzie tobie do baby! Tyś dziwak — źle mówię!—tyś niedołęga—źle mówię!—tyś tyran okrutny żony twojej i dzieci! Wlazłeś jak mól w szpargały i książki i zapomniałeś o całym świecie. Czy żona chora? mniejsza! Pękły ściany i zawaliły się schody — tobie to wszystko jedno! Naplotłeś mi o jakiejś Perpetui, o jakimś Mundusie i myślisz, żeś cudu dokazał. A ja ci powiadam, że tak dłużej być nie może! że ja dalej nie wytrzymam! Zabiorę dzieci i wyjadę do Sewilli. Osiędę przy ojcu — a ty siedź sobie w tej dziurze ze swoimi najukochańszymi szpargałami i czołgaj się po drabinie, czy skacz po niej ile ci się podoba!

— Nie gniewaj się tak mocno donna Elviro!— odpowiadał spokojnie ojciec — możesz zaszkodzić swemu zdrowiu. Gdyby nie te szpargały moje, którym tak srodze złorzeczyłaś, nie mielibyśmy nawet i tego co mamy— bo jakby nie było, a jednak zawsze kapnie z mojej pracy jakiś maravedi na chleb i mleko, ba nawet i na sukienkę dla ciebie. Nie trać tylko otuchy, kochana żono. Nie zawsze nam będzie źle na świecie. *Post tenebras spero lucem!* Obaczysz jak poweselejesz.

— *Caramba!* dałby to pan Bóg! — przerywała matka udobruchana i rozbrojona zupełnie. — Polegam na twojem słowie, mój Alonzo, bo wiem, żeś uczciwy i twoją Elvirę kochasz.

I serdecznym pocałunkiem równie tkliwie oddanym jak i przyjętym kończył się zatarg chwilowy na korzyść dobrej harmonii małżeńskiej.

Niezgodność charakteru moich rodziców, raźna i jaskrawa, miała jednak nie jeden punkt zetknięcia z sobą, niejedną spójnię moralną, niczem nie dającą się nadwerężyć. Dla dona Alonzo i dla donny Elviry życie miało cel poważny, obowiązujący, opatrznościowy— cel dający się tylko doścignąć kosztem ofiary na drogach zacnych, legalnych, od Boga błogosławionych. Te dwa serca, na pozór sprzeczne, rozlewały się jednaką miłością na familię, bliźnich, kraj, z tą różnicą, że co jedno poczuło w milczeniu i w milczeniu uskuteczniło, drugie wypowiedziało rozgłośnie i z energią pełną zapału przedsięwzięło. Były to więc czcigodne serca, jasne i święte; w długiej walce z przeciwnościami wypróbowane. Wicher żywota unosząc jedną po drugiej nadzieję ich i radość, żadnej unieść nie potrafił cnoty, albowiem były to cnoty gruntowne, szczerozłote, ważne—nie ów blichtr znikomy szychowych błyskotek, jakiemi się moralne nicestwo świata przyozdabia, a które lada podmuch słoty doczesnej rozwiewa jak pyły.

Od kiedy pamięcią zasięgnąć mogłem, obraz domowego wnętrza był zawsze ten sam. Chędogie ubóstwo, trud bez przerwy ojca, troskliwe niepokoje i zabiegi matki, miłość małżeńska obopólna i szczera, cieplejsza jeszcze po każdej przelotnej chmurze niezgody, czystość myśli i serca nieskazitelna, gorąca wiara — w takich to barwach i blaskach duchowych stąpały jedne po drugich dnie moje i lata owiane żywotwornem ciepłem domowego ogniska, w którem świecił jawnie promień błogosławieństwa niebios, bo nie było na świecie szczęśliwszej nędzy od naszej, ani weselszej samotności.

Mieszkaliśmy u podnóża Alhambry, której olbrzymie kształty sięgały wysoko nad nami. Od kiedy zapamiętam siebie niemowlęciem jeszcze, czołgałem się w cieniu sklepieni i kolumn tego świata marmurów i harmonii, pełnego objawień i uroku. Od kiedy zapamiętam siebie, róże i tulipany Alhambry wabiły mię uprzejmie, zefir powoływał do wyścigu, a strumienie zaklętych dolin Żeneralifu, co niejedno westchnienie sułtanek podsłuchały i łzę ich niejedną uniosły, dzwoniły do mnie srebrnem słowem ułudy, współczucia i nadziei.

W miarę tego jakiem rósł duchem i ciałem, a następnie głębiej zdołał pojmować przeszłość dziejową Alhambry, wspanialszą stawała się ona dla mnie, uroczystszą i feeryczniejszą. Nie był to już tylko gmach monarchiczny, zadziwiający wytwornością form i ogromem, to była legenda wieków głazem wyrażona, to był symbol potęgi i sławy w kształtach widomych uzmysłowiony, to było słowo przedśmiertne wielkiego narodu skrystalizowane w jaspis, porfyry i marmury. Majestatyczną allegoryą z kamienia objawiały się tam prawdy zasadnicze, moralne i społeczne Wschodu. Groźny fanatyzm Koranu, władnący mieczem rozgromu i błogie upojenia edeńskich rozkoszy prawowiernym przyobiecane, stąpały tam w parze z atrybutami sobie właściwymi. Spojrz na te baszty, strzelnice, surowe mury obwodne, na te groźne wspaniałe wieże Vermejas i Komares śledzące podejrzliwie dal skrajną przestrzeni ażali od jarów skalistych Alpuxary, od wąwozów Sierry-Newady i Rondy nie ukażą się znowu chrześcyańskie proporce Ferdynanda i Izabelli, godła zwycięzkiego Gonzalwa? To Alhambra rycerska! Alhambra wojująca, zaborcza, fanatyczna, mahometańska! Alhambra kilkowiekowej potęgi, heroicznej poezyi, nieśmiertelnego rozgłosu! Alhambra Romancera!... Teraz opuść oko w niziny. Potocz niem w około. Skup się całem jestestwem twojem w zmysłach. Pogrąż się w toni edeńskiej wrażeń. Galerye i krużganki osnute lekką siecią bluszczów i winnej latorośli. Po zwieszonych festonach zieleni pną się do góry barwiste łodygi roślin nie lubiących padołu, chociaż ten padół Alhambry—nie ziemia ale raj. Kędy spojrzysz—kwiaty wszędzie! na sklepieniach, kolumnach, portykach! Jasminy, anemony, tulipany, goździk i róże splotły się gęsto w dywan cudowny, by przechodząca Feja, Huryska albo Sułtanka drobną swą nóżką nie dotknęła ziemi. Dla nich to gwarzą półgłośnie wodne wytryski podwórza lwów, jakby pod rytm wierszy miłośnych Saadiego i Hafiza, szemrzą rozkosznie balsamiczne pomarańcze Lindaraxy, głosząc cytrynom i sykomorom Żeneralifu rzewne nazwiska Zaidy, Fatimy, Celindy i Zary, nadobnych sułtanek Grenady, których powiewne postacie błądzą dotąd przy księżycu po murawie ogrodów Alhambry, po marmurach jej sal olbrzymich, jej wspaniałych choć martwych i niemych belwederów. To Alhambra rozkoszy, upojenia, szczęścia! Alhambra harmonii i uroku! Alhambra edenów proroka!

Od kolebki do lat młodzieńczych Alhambra była zaklętą formą, w której odlewał się stopniowo duch mój, przyjmując wszystkie stygmata i moralne kształty tego świata poetycznych wrażeń i rycerskich pamiątek. Życzeniem ojca mego było żebym się poświęcił stanowi duchownemu, w którym musiał widzieć zapewne największą rękojmię doczesnej pomyślności, jeżeli nie wiecznej. Matka moja tem żywiej podzielała to życzenie męża, że zbytkiem macierzyńskiej miłości olśniona, wróżyła cuda o sukcesach dostojnego synalka, wyobrażając sobie, mam przekonanie, że zostanę luminarzem kościoła i bodaj czy ród mój podupadły papieską tyarą nie przyozdobię. Z tej zgody rodzicielskich przekonań i zamiarów wynikło to, że mię oddano pod bezpośrednią opiekę jednego z najsłynniejszych w Grenadzie pedagogów tamtejszego seminaryum z nieokreślonym prawem wpajania we mnie teologicznych pojęć i dyscyplinarnej karności nietylko perswazyą słowa, ale nawet (co mogłem dopuszczać) i argumentem zewnętrznych środków przekonania. Do tego ostatniego wniosku doprowadziła mię pierwsza pre-

---

*) Ogród sułtanów Grenady.

zentacya solennie przez obojga rodziców moich w dniu 13tej rocznicy urodzenia mego dopełniona. Dom *) Alvaro mieszkał w murach dawnego Alkazara od zdobycia przez Maurów Grenady datującego. Chłodna symetrya wewnętrznego urządzenia komnat odpowiadała surowym rysom jego marmurowego oblicza. Oko jego nie miało promienia. Usta nie miały uśmiechu. Na pergaminowem czole siedziała nie myśl żywa, samodzielna, postępowa, ale ciemna, złowroga, nieruchoma idea fanatycznego przesądu, groźna ludziom i Bogu niemiła. Arbuez i Torquemada nieinaczej musieli wyglądać.

Wyrazić nie zdołam wrażenia, jakie ten człowiek wywarł na mnie. Wstrętem i obawą zadrgały we mnie wszystkie fibry uczucia, jakby w obec sztraszliwego jakiegoś zjawiska. A kiedy po odejściu rodziców sam na sam z nim pozostałem, w oczach mi się zaćmiło i serce zgrozą przejęte uderzyło gwałtownie.

Cały rok zostawałem pod jego zwierzchnictwem. Cały rok opłakiwałem nieszczęsną dolę moją pozbawioną dawnej swobody, to jest najgłówniejszego dla mnie warunku bytu i wesela. Niestało mar złotych, powiewnych fantazyi, błogich uniesień duszy, któremi opromieniały się dnie moje i noce w jasnym edenie Alhambry! Ciężkiem brzemieniem opadły na mnie natomiast suche studya dyalektyki i wstępne teologiczne mozoły. Ani serce, ani umysł nie lgnęły do nich, bo innymi tory dażyć im nieba kazały, innymi blaski przyświecać. Zamiast Lopez'a de Vega, Calderon'a, Cervantes'a di Saavedra, mężnego inwalida Lepanty, których utwory, nie wszystkie wprawdzie, lecz w znacznej części były dla mnie najmilszą rozrywką, musiałem czytać ziewając asketyczne foliały świętej Teresy, Rivaadeneyry, Granady, albo drabować filozoficzne brednie Ludwika Vives, Sanchez'a de las Brozas i Quevedy, których nie rozumiałem, bo nie mogłem i nie chciałem rozumieć. Była to więc oczywista strata czasu, nadaremna tortura umysłu. Było to bezskuteczne pogwałcenie wrodzonych pociągów i potrzeb żywotnych natury mojej, łaknącej światła, przestworu, powietrza, ruchu, a której kazano skupić się, zwęzić i omdlewać w bezwładności, którę zmuszano popełniać nieustanne nad sobą samobójstwo! Dom Alvaro widząc jawne niepowodzenie swoich usilności, brał, jak to powiadają, na kieł i coraz natrętniej naciskał, coraz surowiej dotykał mię, żeby z tego krzemienia wydobyć iskrę uznania wysokich celów nauki, do której tyle okazywałem wstrętu. Doszło do tego, że gdy ostre wymówki i strofowania nie odniosły skutku zamykał mię w ciemnicy, pozbawiał snu, pokarmu, napoju, pastwił się nad moją cierpliwością, tryskał na mnie jadem wściekłości i piekielnej ironii, bił, kaleczył, mordował z upodobaniem inkwizytora, kata, lub szatana! Lecz im się więcej zapędzał, tem o twardszą tracał opokę, o sprężystszą siłę odporu, oburzenia i nienawiści. W młodej, prawie dziecinnej piersi, skłonnej przebaczyć i pokochać, rozniecił on cały wulkan niedobrych porywów, rozpłomienił całe piekło żądz krwawych, a chociaż loicznie sprawiedliwych, religijnie występnych. Eumenida owładnęła mną. Nemezys wtłoczyła mi sztylet do gorejącej dłoni. Noc była. Noc ponura i czarna. Dom Alvaro spał. Wszedłem na palcach i stanąłem nad nim.

(C. d. n.)

*) Skrócenie słowa *Dominus*, względnie osób duchownych, w Hiszpanii używane.

Głębia morza i głębia powietrza

przez

Dr. TOMASZA STANECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Niezadługo bohaterowie nasi dosięgli grzbietu, który im obiecywał, że ich przeprowadzi na wierzchołek góry. Miał on nie wiele na sobie śniegu, ale podnosił się tak stromo, że nie łatwą było rzeczą wedrzeć się na te piątro. Po nadzwyczajnych wysileniach gimnastycznych pokrzepiając się nadzieją coraz złudniejszą, w miarę jak wyżej postępowali, widzą się niespodzianie — u stóp ściany trachitowej kilka set metrów wysokiej, która dalszą drogę zupełnie zagradza. Jakie w tej chwili uczucia owładnęły ich serca, nie trudno odgadnąć. Wszak to dopiero wzniesienie wynoszące 5680 metrów, a nie marzyli o dotarciu do samego szczytu. Usiadłszy pod wrogą skałą, połykają kawałeczki lodu, by ugasić pragnienie, i rozmyślają nad tem, co dalej przedsięwziąć. Dopiero trzy kwadranse na pierwszą, jeszcze więc dosyć czasu do wędrówki. Zimno poczyna dojmować, ciepłomierz pokazuje zero; powietrze bardzo wilgotne, powierzchnia skał całkiem mokra. Nadciągają chmury i niebawem ogarniają górę zmrokiem.

Rozdarły się przecie chmury, ale cóż odsłoniły? Oto po prawej ręce zieje okropna przepaść, po lewej sterczy skała, niby baszta strażnicza. Boussingault wdziera się na nią za pomocą swych towarzyszy, rozpatruje miejscowość i nabiera otuchy, bo dostrzegł, że z przeciwnej strony tej skały, która im drogę zastąpiła, znajduje się przypora ze śniegu, po której mogliby wyjść jeszcze wyżej. Spuszcza się więc z baszty, za nim dążą Hall i przewodnik. Na szczęście opór śniegu okazał się dostatecznym do utrzymania trójga ludzi.

W chwili, kiedy wstępują na nową drogę, odzywa się od wierzchołka góry kamień i spada tak blisko pułkownika, że ten ugodzony naciskiem powietrza nie mógł się utrzymać na nogach; wstał jednak zaraz, by oglądnąć bryłę — był to odłamek trachitu.

Oswoiwszy się powoli z widokiem przepaści, którato ostrożność w górach jest niezbędną, pną się do góry podle skały, o które się śmiało opierać mogą. Ale już dają się poczuć skutki oddechania rozrzedzonem powietrzem. Co chwila muszą stawać, a nawet przylegają na kilka sekund; ulgę przynosi tylko ruch, czego i Saussure doświadczał. I oto nowe grozi im niebezpieczeństwo: śnieg coraz płytszy, coraz pulchniejszy; już tylko 3—4 cali głęboki, a pod nim lud twardy i gładki; trzeba znowu robić wręby, aby się nie ześliznąć. Przewodnik idąc naprzód, wykonuje tę mozolną robotę. Ale już go siły opuszczają; Boussingault podejmuje się tej pracy, chce go wyminąć, — wtem śnieg usuwa się z pod nogi, i on pada na pochyłość zbocza. Z największem wytężeniem sił udało się towarzyszom zatrzymać nad przepaścią prawie wiszącego; wszyscy w niebezpieczeństwie, bo łatwo może ich pociągnąć za sobą, jeszcze raz zdobywają się na siły,

i ocalają siebie i znakomitego badacza. O trzy kwadranse na drugą dociągnęli do końca zdradliwego przesmyku.

Wyżej się wdzierać było niepodobieństwem. Znowu przecięła im drogę urwista skała, której czub śniegiem pokryty stanowił wierzchołek góry Chimboraço. Próg na którym teraz spoczywali, był zaledwie trzy stopy szeroki, i ze wszystkich stron otoczony turniami i przepaściami. Długie sople wisiały nad ich głowami, niby wodospad zlodowaciały. Powietrze było spokojne i czyste; widok wprawiający w zachwyt, w zdumienie, wynagrodził sowicie wszystkie trudy i cierpienia.

Barometr pokazywał 371 millimetrów, a więc wzniesienie na 6004 metrów. Nikt jeszcze przed Boussingaultem nie wyniósł tak wysoko barometru. Pułkownik Hall nie posiadał się z radości; nie przestawał bawić swych towarzyszy żartami, rysując przytem obraz lodowego dworca, do którego pierwsi zawitali. Głosy ich zmieniły się zupełnie; stuk za uderzeniem młotka o skałę zaledwie słyszeć się dawał. Dolegliwości prawie całkiem ustąpiły; Boussingault czuł wprawdzie pragnienie i ograżkę puls jego bił 100 razy na minutę, z tem wszystkiem jednak czuli się na siłach, a klimat wydawał im się dość znośnym.

Do trzeciej godziny pogoda była bardzo piękna. Tylko u stóp góry poczęły się gromadzić gęste chmur bałwany i wnet zahuczały grzmoty, upominające naszych podróżnych do odwrotu, aby ich śnieg i zimno nie zatrzymały na lodowcu, ile że nie mieli już wcale żywności. Zstępując więc zwolna i ostrożnie po niebezpiecznych przechyliskach, korzystają z poprzednio nabytych doświadczeń. Już dosięgli dzielnicy 300 metrów niżej położonej, gdzie przez chmury przedzierać się muszą; pod nimi grad pada; ścieżki oślizły; największa ostrożność zespoliła się z największą odwagą. Nareszcie przyszli na to miejsce, gdzie muły na nich czekały, i około ósmej wieczorem stanęli na folwarku.

Oto szkic jednego z bardzo wielu nie mniej utrudzających i niebezpiecznych zapędów badawczych! Posłuchajmy, jaką wyprawę odbyli w tymsamym celu balonem dwaj Anglicy, Glaisher i Coxwell, 5go września 1852. Aż do wysokości 10.000 stóp przebijali się przez obłoki, poczem wynurzywszy się z mglistej toni ujrzeli nad sobą pogodny błękit nieba, a na dole wspaniałe przewały chmur, wśród których srebrzyły się niezliczone gór czuby i grzbiety. Na wysokości 19006 stóp Coxwell już z trudnością oddychał; 2000 stóp wyżej zimno staje się dotkliwem, ciepłomierz pokazuje 10 stopni R. poniżej zera. Przed 37 minutami wsiadając do łodzi aerostatu mieli 15°R. ciepła; różnica więc temperatur niepomierna w tak krótkim przeciągu czasu. Wyrzucają część balastu; w 10 minutach balon dosięga wysokości 26000 stóp, a termometr oznajmia — 15° R. Dotychczas Glaisher zajęty obserwacyami meteorologicznemi nie uskarżał się na żadne dolegliwości, tylko Coxwell który pilnował balonu i natężał się przytem, ponosił przykrość krótkiego oddechu. Jeszcze więcej balastu wyrzucają, balon wzbija się do wysokości 29000 stóp. Glaisherowi mgli się wzrok, nie może rozpoznać cyfer podziałkowych na instrumentach, już i skazówki na zegarku kryją się w zaćmieniu. Wsparł się na stoliku, chce przetrzeć oczy, a tu ręka zdrętwiała, podnieść jej nie może, — i drugą już nie włada. Wstrząsa całem ciałem, i zdaje mu się, jakby rąk i nóg był pozbawiony. Głowa opadła na lewe ramię: podniósł ją na moment, znów zwisła na prawe ramię. Pochylony na poręcz gondoli, zwraca oczy ku towarzyszowi, którego jakby przez mgłę rozeznaje; usiłuje przemówić, ale bezskutecznie. Zaćmiło mu się całkiem w oczach, jeszcze jest przytomny; z rezygnacyą oczekuje chwili zgonu, — po dwóch lub trzech minutach zupełnie odchodzi od zmysłów. — Po niejakim czasie słyszy wyrazy „temperatura“ i „obserwacya“, odzyskuje zatem przytomność i słuch, poznaje że Coxwell do niego przemawia, słyszy wyraźną zachętę: „Niechże pan sprobuje, proszę pana“, ale jeszcze go nie widzi, nie może się odezwać ani ruszyć. Nareszcie przeziera, jakby ocknieny z otrętwienia, podnosi głowę i mówi „byłem bezprzytomnym“. „Uważałem to“, odrzekł Coxwell, „i ja byłem bliski tego stanu; ale oto ręce mi poczerniały, nie mogę niemi ruszać“. Glaisher polał je wódką, i zaraz zajął się instrumentami; ciepłomierz wskazywał 15° R. Podczas gdy Glaisher był w stanie uśpienia, towarzysz jego poczuł, że drętwieje od zimna, że traci siły, — chce więc co prędzej uchylić klapy, niestety! rękami władać nie może; chwyta wtedy sznur od klapy zębami, i pociągnąwszy rozpacznym wysiłkiem, otwiera wypust od balonu, — a ten poczyna spuszczać się na dół. (C. d. n.)

MĘCZENNICY FANTAZYI,

NOWELLA

z niemieckiego

LUDWIKA FOGLARA.

(Ciąg dalszy.)

Wśród tych stosunków i kolizyi, jak skromna róża ledwie się rozwijająca, nieświadoma swej woni i krasy, żyła dziecinna jeszcze, młodziutka — Alma; zamyślenie jej częste i małomowność przypisywano zastanowieniu się nad otaczającemi ją wrażeniami i całym przed nią otwierającym się światem. Kilka lat przeminęło w cichym spokoju, którego nic jej niezaćmiewało; bo jeszcze szatan zawiści, obłudy i oszczerstwa nieważył się przestąpić progu tej świątyni. Ale podwaliny jej były staranie podkopane, i jedno nic jeden, pozór zewnętrzny, zdolny był zatrzeć jej filarami. Bo obojętnie omijają ludzie to, co im się zda zawiści niegodne, a nieubłaganie miotają się, by zburzyć to, czego by sami postawić nie potrafili. Krótka wycieczka do Homburga u stóp góry Taunus, przyczyniła się do tego.

Podróż wyjątkowo zbliża ludzi i objawia jednych drugim, w swobodnych, aforystycznych godzinach.

Orbes, marszałkiem podróżnych mianowany, nieśmiał ani atomu zawiści rzucić w serce Gontarda; charakter jego, niemiał ku temu skłonności, a Gontard przywykł do otoczenia Zuzanny przez Helikońskie koło, jak je w żarcie nazywał. Nieprzyznawał się nawet, że mu bardzo pochlebiało stanowisko jakie dóm jego zajmował, a nikt nie ważył się myślą nawet rzucić najmniejszą rdzę na srebrną tarczę cnoty Zuzanny. O tem niezłomnie był Gontard przeświadczony.

Świat jednak niezasypiał, niezasypiał i Orbes czujny. Nieuszło jego uwadze, że od pewnego czasu, dziwnie sposępniała Alma i że brat począł się trwożyć o jej zdrowie. Dla niej to przeznaczono kąpiele Homburskie. W pochodzie przez długą leśną przechadzkę, przyzostali raz Orbes i Zuzanna. Orbes rzekł wskazując oddaloną knieję, w której gubiły się dwie idące postacie:

— Czy kiedy kto widział naszą małą Almę tak swobodną, zdrową i pustą, jak świergotliwe ptaszę?..

— Znajduje się w latach snów i swobody, odrzekła Zuzanna.

— Tak! sny to rzecz piękna, któżby zawsze snić nie chciał? ale marzenia są dobrowolnem wyniszczaniem siebie samego, są złudą tych co działać niezdolni! Trzeba żebyśmy sobie samym byli jasnymi — w nas i wkoło nas, jasno być musi.... Jakże to do Almy zastósować?.. Czy mam być zwięzły i dobitny? nie lubię przenośni....

— No?..

— Alma kocha Frydryka!..

Zuzanna jak porażona, ukryła rumieniec schylając się za kwiatkiem leśnym; potem odrzekła spokojnie i poważnie:

— Tem uczuciem duchowem, które wiąże wszystkich zacnych i szlachetnych w jedną czeladkę. To życie ziemskie powinno być wniebowstępywaniem, i błogosławiona każda ręka co nas w górę podnosi, by o stopień wyżej nas dźwignąć, na tej drabinie Jakóbowej.

Zuzanna, jednak mówiła te słowa głosem bardzo niepewnym, ręka jej uniosła się w powietrzu, jak dla przysłonięcia twarzy woalem, a tylko z lekka przetarła czoło płonące bardzo, jednak zostawszy Panią swego wzruszenia, spokojnie zacytowała ustęp z Pindara:

„Pragniemy tego co najwyższe, ale niechaj żaden z synów ziemi niezuchwali się do tego stopnia by sobie wyobraził, że jest w stanie połączyć w sobie wszystkie te przedmioty, którymi obdzieleni są różni ludzie, że zawiera w sobie wszystkie barwy i światła, które stanowią całość ideału, i niech niemarzy, że sam sobie wystarczy... Część tylko jaźni wszechświata w nas przebywa, reszta żyje w drugich, — odłamy tylko tej całości objawiają się w indywiduach — azaż niekochamy wielkiej, nieznanej całości, I d e i?“ Pan mówisz o przyjaźni, o sympatii, o pokrewieństwie duchów — ja jednak..... Pan..... przeczyż zasadzie, która jeszcze Pitagorejczyków łączyła...

— Ależ my, odparł Orbes, żyjemy w osiemnastym wieku....

— Jednak, kochamy tak samo ludzkość, zdolni tych samych, co oni, uczuć przyjaźni, mniej samolubnych niż dzisiejszy kodex miłości!

— Łaskawa pani, odrzekł, nie łudźcie mnie i siebie! Miłość powstaje tu—na świecie w którym żyjemy, i nietylko z samego ducha się składa, ale i z materyi, nie mówię przeto z materyalizmu. Miłość pozbywszy się wszelkiego kształtu ująć się dającego, uczucie którebyśmy tak zidealizowali, żeby zupełnie uszło rzeczywistości, a tylko duchem istniało, któremu niemoglibyśmy nadać ani podstawy ani nadziei, stałaby się w końcu niebezpieczną mrzonką, ulotniła by się wreszcie, a choćby w nas pozostała, jej wpływ zbawienny na serce stałby się bardzo zagadkowym.

— Więc cóż? więc cóż?!

— Więc... któż obliczyć zdoła pulsowanie pękającego serca?

— Ale w tym razie zdaje mi się że się mylisz, zacny Doktorze.

— Albo Pani pragniesz bym się mylił.

— Niewidzę możności spełnienia się ich życzeń...

— Aha! pani masz na myśli Gontarda i jego zasady? To będzie mojem staraniem. Mam zmysł umożliwiający mi błogi tryumf, jaki bym osięgnął dopomagając do szczęścia dwojgu tak szlachetnym ludzim.

Tu połączyli się z resztą towarzystwa. Uroczyste milczenie opanowało wszystkich, a Gontard wróciwszy z pomyślnego rybołowstwa, weselszy niż kiedy dowcipkował na karb „muz melancholicznych“ prześladował Panie Platonem i Spinozą, Panów mytologicznymi pomysłami, a cieszył się w sobie na smaczne, ułowione pstrągi. To usposobienie nie opuściło go i w ciągu obiadu, a dopiero gdy Orbes zaproponował mu konną przejazdkę, do której i Frydryka wezwał, wrócił do normalnego stanu. Frydryk się wymówił, Gontard polecił mu służbę około płci pięknej, uściskał swoich chłopców, zajrzał do gazety handlowej i wyjechał wolnym galopem w towarzystwie „przyjaciela“.

Frydryk obiecał odczytać parę ustępów z swego nowego poematu „Hyperion“, poszedł po rękopis, a Panie same zostały.

Ramię w ramię poczęły się przechadzać po ogrodzie, w chłodnej i wonnej atmosferze, wreszcie usiadły w cichym chłodniku.

Zuzanna zdała się głęboko wzruszoną, kiedy Alma milcząco poglądała przed siebie, pod wpływem jakiejś tajemniczej zagadki. Zuzanna ucałowawszy jej blade czoło, wpatrzyła się w nią badawczo.

— Moja Almo, tak dawno już niesłyszałam cię spiewającą.... czy się czujesz niezdrową... czy może jaką tajemnicę ukrywasz przedemną?..

Alma po chwili padła jej na szyję, i szlochając głośno ukryła twarz w obie dłonie.

— Czy niemam już twego zaufania moja droga, ciągnęła dalej Zuzanna, czy niepotrzebujesz już udziału żadnej bratniej Ci duszy na ziemi?... Czybyś się obawiała uśmiercenia twych swiętości, gdyby się słowem stały? A jeźli cierpisz, czy cierpienie niemogłoby być podzielonem, a temsamem zmniejszonem przy sercu ukochanej siostry?.. Lekarze, jakoś niemogą dojrzeć głębi twej istoty, a złe zdaje mi się, tkwić w sercu twojem... Ja zaś przychodzę z prożbą przyniesienia Ci ulgi.

— Nietroszcz się mną, odrzekła Alma, daj mi tak przejść w niemym spokoju, jak dziecku, nieobliczając się z tem co się we mnie dzieje, bo to co czuję, przeczuwam raczej, i sama sobie nie mogę jasno odpowiedzieć!.. Mogłabym w długiem zadumaniu zapomnieć siebie i swiat cały, tak wielkim jest zasób szczęścia — i boleści w tym obrazie....

— Czy Ci ująć w słowo ten obraz?

Alma niemo zadrzała — —

— „Frydryk!“...

(C. d. n.)

PRZEGLĄD LITERATURY DRAMATYCZNEJ.

(Dokończenie. — Patrz Nr. 7.)

Dla braku miejsca zmuszeni streszczać się, kilku tylko słowy zwrócimy jeszcze uwagę na niektóre, wcale cenne utwory naszej, nie zbyt bogatej literatury dramatycznej, zdolne w dobrem przedstawieniu na scenie, bardzo się podobać. Są one systematycznie usuwane z repertoarzów, jakkolwiek tyle w nich doprawdy wyższych zalet, że mogą się wygodnie pomieścić obok „*Princesse Georges*“ lub „*Vieux garçons*“. Wskażemy np. na tragedyę Mieczysława Romanowskiego: „Popiel i Piast“, przerastającą duchem wszystko prawie, co od czasu napisania tego dramatu, u nas na tem polu nowego stworzono. Takie tu świeże powietrze wieje zewsząd, taka pierwotna twórczość, tak rozległy horyzont myśli, wraz z charakterystyką dochodzącą czasem Szekspiroskiej wypukłości, że po przeczytaniu dramatu, czuje się umysł orzeźwionym jak po kąpieli w górskim potoku. Szkoda, ażeby tyle brylantów poetycznych zmarniało... I tu jednak także robimy zastrzeżenie, że gdyby chodziło o krytyczny rozbiór dramatu, musielibyśmy uczynić mu bardzo wiele zarzutów nieprawidłowości w kompozycyi, bardzo wiele należałoby w nim wskazać zasadniczych usterek, co wszystko jednak nie przeszkadza scenicznemu przedstawieniu. Na tle Słowiańskich legend nawet Słowackiemu udało się stworzyć tylko poemat mglisty i symboliczny; „Popiel i Piast“, będąc obrazem natury Słowiańskiego pierwiastku w przedchrześcyańskiej dobie, potrafił uchwycić wszystkie typowe jego rysy i dać wspaniałą poezyę w zespoleniu z historyczną wiernością. Im to bywa rzadszem i trudniejszem, tem bardziej powinno być cenionem.

Po śmierci Karola Szajnochy wiele mówiono o pozostałym w jego papierach rękopisie historycznego dramatu „Wojewodzianka Sędomierska“. Uważalibyśmy za dowód zapobiegliwości ze strony nowej dyrekcyi teatru, gdyby tę spuściznę odszukała i wprowadziła na scenę.

Powracając jednak od nieboszczyków do żyjących, wskażemy na parę utworów Wacława Szymanowskiego, jak „Dzieje serca“, „Michał Sędziwój“ i „Salomon“, z których szczególnie ostatni wyróżnia się głębokością rysunku psychologicznego i piękną szatą dykcyi. Wskażemy na usunięte z repertoarzu dramaty K. Pieńkowskiego: „Scena za sceną“ i „W chacie i we dworze“, z których pierwszemu czynią zarzut ckliwego sentymentalizmu. Ale w naszych czasach tak się smak publiczny rozlubował w motywach powszednich, że sentymentalizmem nazwano każdą prawie czystą poezyę. Tak się ma i ze „Sceną za sceną“... Nie wierzcie temu — niema tam ckliwości, jest tylko źródło głębszego wzruszenia i język nieskażonej poezyi.

W układzie przyszłego repertoarzu jedną radzilibyśmy wprowadzić zasadniczą reformę. Wiecznym *plat du jour* naszych teatrów była produkcya sztuk francuskich, pisanych dla potrzeb i gustów tego społeczeństwa tak niższego od nas moralnością życia, naturą obyczajów, polotem ideałów poetycznych.

Co się rodzi nad Sekwaną, wysnuwa się tak wyłącznie z jedynego motywu namiętności najbardziej ziemskiej—wiarołomności kobiety lub mężczyzny, że ztąd biorąc miarę możnaby posądzić świat ludzkich stosunków i świat dramatycznych motywów o zupełny brak kolizyi i stosunków innych. A przecież tak nie jest.. Chociażby jednak i było, to sami Francuzi, malując wiecznie ten sam obraz, zużyli skarby swojej wyobraźni i przedmiot wyczerpali. A chcąc bądź co bądź pozostać wiernymi niezaszczytnej tradycyi, wysączywszy, jednak z tego kielicha brudu wszystkie już szumowiny, wyzyskawszy te strony kwestyi, które w niej najbardziej podpadały oku, stanęli na punkcie rozpaczliwym, gdzie życie odmówiło już nowego tematu, nowej treści, nowych interesujących zawikłań, gdzie już tylko sztuką kombinowania zużytych intryg i sponiewieranych efektów można jeszcze ulepić domek, brudny wprawdzie i wiotki — no, ale zawsze domek... Ktoby zważał na nędzną budowę, kiedy jest dosyć przestronny, aby się w nim pomieścił upadek kobiety.. I przyszło do tego, że nawet autor, który pisząc „Damę w kameliach“ był jeszcze prawie genialnym obserwatorem i wzniosłym poetą, dziś stał się oburzającym, że słodki twórca „Dalili“ napisał „Julię“ a Emil Augiér „Pawła Forestier“... i stało się, że świeżość pomysłów zastąpiono wyrafinowaną excentrycznością, która niema w sobie najmniejszej żywotnej podstawy.

Autor „Księżniczki Georges“ opędzając się zarzutom, że stworzył w swej sztuce sytuacyę wyszukaną i nienaturalnie rozwiązaną, powiada: „A jakże inaczej miałem ją zakończyć?“... Ależ nie trzeba było wcale zaczynać, bo takie wypadki są w życiu nazbyt wyjątkowe a w dramacie wstrętne — więc sztuka taka ani nauczy, ani podniesie...

Inni znowu autorowie, jak Belot i Gondinet stanąwszy u kresu, gdzie się zaczyna brak materyału, poszli do księgarza Michel Levy lub Dentu, kupili sobie kodex karny i nuż wertować paragraf po paragrafie. Znaleźli tam wiele niesprawiedliwych przepisów i na ten temat popisali sztuki dla łakomych dyrektorów teatru, stawiając pod pręgierzem opinii — obowiązujący we Francyi kodex, jak gdyby trybuna Zgromadzenia narodowego była zamkniętą a p. Tiers wolał uczyć się prawodawstwa w *Châtelet* niż w Wersalu.. *What next?*.. Kodex wprawdzie ma wiele paragrafów, ale gdy i on się wyczerpnie?..

Oto mi jednak chodzi, że nastąpiła chwila, w której stanowczo należy zerwać z teatrem francuzkim. Co było tam dobrego, już przetłumaczyliśmy, a sztuk najnowszych jak „Baronowa“, lub ta nieszczęsna „Księżniczka Georges“ tłumaczyć nie możemy, bo wyrządzilibyśmy społeczeństwu naszemu i naszej scenie krzywdę. Nie rozumiemy tu naturalnie, aby budować już nieprzeparty mur chiński — i pośród wrzosów błotnych wychyla się czasem kwiatek —, ale chodzi nam o to, ażeby nie być dłużej niewolnikiem w służbie fabrykantów paryskich, a raczej zwrócić uwagę w stronę, gdzie otwiera się widnokręg szerszy, wspanialszy, ducha godniejszy.. Jeżeli panuje u nas pewna bezpłodność na polu dramatycznej produkcyi i pomocy żądać musimy u postronnych, natedy powaźnością kierunku, szerokością myśli, zacnością dążeń, poezyą słowa góruje dziś po nad wszystkie inne literatura dramatyczna niemiecka. Niema tu lekkiej wytworności dyalogu francuzkiego, niema błyskotek wątpliwego dowcipu, ale jest przedmiot z życia lub historyi zawsze poważny i dotyczący najgłębszych zadań jednostki czy ludzkości, gdyż Niemcy uznają słusznie, że w instynkcie zmysłów nie skupia się jeszcze cała dusza świata, cały zakres ludzkich stosunków i dramatycznych kolizyi, że po nad apoteozę zwierzęcej natury są motywa życia, w których się przejawia czysto duchowa strona człowieka ze swemi zboczeniami i śmiesznostkami, dająca pole do wyzyskania w satyrze komedyi lub bohaterskiej apoteozie dramatu. Dlatego to właśnie dzisiejsi niemieccy dramatycy tak przeważnie czerpią motywa z historyi,

wyjmując z niej idee i postacie, w których się skupia najwięcej interesu duchowego. Czemu Francuzi, mający tak świetne karty historyi, nieumieją jej wyzyskać dla sztuki?.. Bo dramat historyczny wymaga studyów, a dramat z półświata rodzi się na bruku. Do tego więc przyszło, że najwspanialsze chwile historyi francuzkiej musieli opracować Niemcy. Brachvogel musiał pisać „Księżniczkę Montpensier“, Oskar Welten „Théroigne de Marcourt“, Hammerling „Dantona i Robespierre'a...“ Niemcy mają zmysł historyoficzny szeroko rozwinięty, a w dramacie osnutym na kanwie dziejów, najbardziej chodzi właśnie o wydobycie historyozoficznego wątka z wypadków, który bohatera czyni narzędziem idei, bieg dziejów urzeczywistnieniem wyższych prawideł bytu. Dlatego poeci niemieccy ściśle historycznych trzymający się przedmiotów, jak Laube, Gutzkow, Brachvogel, Weilen, Gottschall, lub na pole nieokreślonej fantazyi chętniej wysuwający się, jak Halm i Mosenthal, stworzyli szereg wspaniałych obrazów, kędy duch ludzki przejawia się w kształtach, daleko wspanialszych i daleko prawdziwszych, aniżeli — proszę mi wierzyć! — w nowoczesnej komedyi francuzkiej, będącej Panteonem bezwstydu.

Bronisław Zawadzki.

KRONIKA ARTYSTYCZNA WIEDEŃSKA,

przez

N I N O.

(Dokończenie.)

Fedra Rasyna w znanym przekładzie wielkiego Schylera zyskała o tyle, że bohaterowie zostali otrzepani z pudru pseudoklasycznego i wolni od peruki *à la Louis XIV*, że Tezeusz był więcej Grekiem niż Francuzem, Hipolit synem godnym amazonki, a Fedra prawdziwie patetyczną, niezmuszoną deklamować trzynastozgłoskowych frazesów a postawioną na wielkim tragicznym koturnie, ofiarą anaguki, która choć się staje furyą boleści budzi wspułczucie od początku do końca. Gra jej pszeszła się tym razem w prawdzie i potędze — akty były chwilami, zdawało się że kortyna wznosi się i zaraz opada.... tak zapominało się o scenie. Nierównamy panny Wolter z klasyczną Rettich, ale ma ona swoje zalety, których tamta nie miała. Fedra jej nie była tym posągiem z marmuru ogniem ziejącego w swym spokoju, jakim bywała Rachel, furyę Fedry deklamowała mniej gwałtownie jak wielka Ristori — we Fedrze poczuła tylko nieszczęśliwą kobietę, kochającą tak silnie, strasznie i ogromnie — że nawet nienawidzieć nie zdoła — i kiedy chce znienawidzieć — kona!... dlatego współczucie trwa do końca.

Hipolit (Krastel) dzielny syn amazonki, zawołany kierownik wiatronogich rumaków, którego nienawidziły niewiasty zato że ich niemiłował, ten dziki ulubieniec lasów i pustyń, kochanek natury, oddany został dobrze dopiero w rzewnej chwili, kiedy ukochał Aricyę siostrzenicę króla. Jest w Luwrze obraz szkoły Francuzkiej, tejże co Rasyn tradycyi pseudoklasycznej, Piotra Guérin, przedstawiający Rodzinę Tezeusza. Sam król — w podejrzeniu — Fedra z piekłem ukrytem w sobie — z boku stoi Hipolit — cudny posąg szlachetności i dziewiczości młodzieńczej — ruchem ręki wymownym dumnie i skromnie odpierający zarzuty na się miotane, których nawet nie zdaje się pojmować. — Ten Hipolit jest ideałem Hipolita, piękniejszym niż u Rasyna. Ustęp przepyszny i *par excellence* dla Francuzów stworzony o wyżygniętym przez fale morskie potworze, który przeraził i spłoszył rumaki Hipolita, ustęp ten z przerażającym wyrazem oddał spiżowym głosem swoim p. Lewiński. Dreszczem przejmowały jego spokojne, a jak noże ostre wyrazy.

Był też wieczór na cześć Grillparzera z fragmentem jego „Estery.“ O Grillparzerze, odkąd umarł, tyle prawią, że jeżeli kadzidło dochodzi szczytów Parnasu, jeżeli tam czytują gazety, nieraz poeta musi ziewać w sferach Olimpijskich, czytając te pośmiertne komplementa, które nieraz nazbyt są ckliwe. „Don Juan,“ „Fidelio,“ „Armida“ Glucka, „Romeo i Julia“ Gounoda, „Hugenoci“ i „Lohengrin“ zapełniały ostatni repertoar opery. Dziś wznowiono „Meistersingerów“ Wagnera, na których nie poszedłem by złowić chwilę wolną do przesłania wam tego zarysu. Lohengrin od pewnego czasu jest potrzebą Wiedeńczyków, ściąga tłumy. Tym razem tenor Labatt w roli tytulowej kokietował swymi wysokimi tonami rzadkimi u tenora, mniej dramatycznością gry swojej. Elsa panny Ehnn także była przyzwoitą ale nie nadto i widocznie nie w swej roli. Elsa — ta śnieżna postać spotwarzonej kobiety — występującej w obec swego sędziego: całego narodu, winna być sunącym się posągiem; na mimice raczej niż na spiewie zawisła potęga całej pierwszej sceny, przypominającej Choefory Eschylesowe! Powinna mieć charakter żałośny a dumny tej smętnej niewiasty Canovy, co urnę z popiołami wnosi do swej piramidy... z tym smutkiem pełnym przeświadczenia, że potwarze runą prędzej - później i zdechną jak gadziny, ale boleść po nich zostanie, niewierząca, że one przeszły, jak mróz co zmraża kwiat, jak te łzy, o których mawiała nasza ubóstwiona Jadwiga: „kto je powróci?“ Akcya i siła głosu panny Ehun chybiły tym razem, ani wiedeńskie loki panny Ehnn, ani tusza zasłużonej pani Dustmann nie dopiszą w tej roli; o ile pamiętamy, pani Mallinger palmy w niej godna.. włosy jej lunęły potokiem aż ku ziemi, chód odpowiadał rytmowi orkiestry, a spiew odpowiadał zadaniu. Fidelio Bethovena prawie równie świetnie wypadł jak przeszłego roku. Leonora, pani Dustmann, przeszła się tym razem w uczuciu i werwie. Leonora, ta postać bohaterskiej żony, która przebrana po męzku, zdołała się dostać jako sługa klucznika do ciemnic więziennych ubóstwionego męża, mająca siłę z klucznikiem kopać grób dla niego, w którym ma legnąć zamordowany, ta kobieta zawsze wygląda nam — na Polkę! i tylko Beethoven mógł oddać w tonach taki charakter. Florestan, mąż w ciemnicy zagrzebany, czarny żałobą społeczną, nie jest że to ta nieszczęsna generacya, która po upadku rewolucyi, Napoleona, tysiąca rozbudzonych nadziei doczekała się — kongresu wiedeńskiego, której wzbroniono widzieć i myśleć? Jedna połowa jej, jak Florestan gnić musiała w łańcuchach, druga spiskować tajnie, jak Mazzini. Nie dziw, że Schumann tak ulubił sobie pseudonim Florestana. Duet nieśmiertelny radości oddany był pięknie, choć dla jego oddania w ciągu opery pan Walter nadto głos swój szanował. Grupy wolnych więźniów były prześliczne. Niemniej druga uwertura do Leonory między aktami wykonana, pod przewodnictwem Dessofa, który coraz wybitniejsze zajmować zaczyna stanowisko.

Nowością oczekiwaną jest „Ferramors,“ opera Rubinsteina. Wirtuoz ten rozwinął w ostatnich miesiącach czynność swoją na olbrzymią skalę. Naprzód pod jego

dyrekcyą słyszeliśmy „Requiem“ Mozarta, które (prócz małego błędu puzanów) poszło świetnie, mianowicie „Lacrymoza“ i „Confutatis Maledictis.“ Następnie sam R. dał drugi koncert fortepianowy solo, z wielkim programem. Koncert ten był jednym z najwspanialszych, jakie słyszeliśmy w życiu—tym razem jeszcze lepiej był usposobiony. Powtarzamy cośmy wyrzekli, że ze wszystkich trudności R. wywiązał się jak lew, a gry jego słuchając miło jest uczyć się i używać, miło również dać się porwać uczuciu podziwu i oceniać grę, choć się z człowiekiem nie ma najmniejszej styczności. Program mógł wyrażać zasadę, że jeżeli nic zbyt trudnego to i nic za łatwego nie masz dla prawdziwego mistrza. Część I składały: uwertura z Egmonta Beethovena, na fortepian ułożona przez koncertanta, z wyrazem oddającym plastykę całej orkiestry, Rondo Mozarta, Waryacye Händla i Fantazya chromatyczna Bacha. Część II. Sonata C dur op. 53 Beethovena, która technicznie oddzieliła się od wnętrzności mistrza, jak dojrzały owoc spadający z drzewa dla użycia. Strona jej duchowa pełna życia i ognia, tempo pulsujące gwałtowną rytmicznością Tytana. Część III była szczytem wszystkiego, jednym tchem odegrano 12 studyów symfonicznych Schumana; oddanie *nec plus ultra*, uwielbieniem przejęło wszystkich. Część IV była schodzeniem z olbrzymiej góry w kwiecistą dolinę złożoną z „Moment musical“ (Es-dur) Schuberta i „Ständchen“ Liszta. Pieśni bez słów Mendelssohna, Nocturnu (C moll) i Polonesa (as dur) Chopina. Polones tylko był Achillową piętą koncertu — czy gorączka wzburzonych uczuć, czy wybujała indywidualność podniosły go do kwadratu i okazały przez mikroskop nie Chopinowski—była to fantazya fortissimo na temat Chopina. Inni krytycy wychodząc z sali tego samego byli zdania, czemuż inaczej pisali? *Non relata refero.* R. grozi jeszcze koncertem pożegnalnym i daje wieczór muzyki komnatnej (Kammermusik), prócz tego trzy nadzwyczajne dyryguje koncerty, w których daje swój „Raj utracony“ i muzykę Schumana do Fausta. Ta ostatnia rzadko dawana niezmiernie ciekawa jako jedna z czterech słynnego w swym czasie „Faust-problemu,“ którego pomnikami uwertura do Fausta Wagnera, Faust-Symfonie Liszta, Berlioza Damnation de Faust i powyższa Schumana.

Po ukończonych słynnych kwartetach Hellmesbergera przybył kwartet Florencki. Przewodnik jego Becker jest człowiekim, który śpiewa na skrzypcach jak nikt drugi! Kwartetem Rubinsteina (n. b. część I i II), Schumana i Beethovena (op. 130), przenieśli słuchaczy w ten świat lepszy ideału, w który dziś niezawsze przenieść umieją artyści. Odznaczył się jeszcze kwartet kompanii pana Dubez (salon Boesendorfera,) który coraz więcej zwraca uwagę ogólną. Salon Boesendorfera kwitnął okazale w tym roku, między innymi koncert panny Timanoff uczennicy Rubinsteina, pana Roessel ucznia konserwatoryum wiedeńskiego i t. d. Wielkie też są zasługi Boesendorfera w obec sztuki i artystów, firma i człowiek jednogłośnie wzniesione przez wszystkich, artyści bez wyjątku salę mają do koncertów bezpłatnie, równie fortepiany w mieszkaniach, które kupując, kupują po bardzo zniżonej cenie. W salach konserwatoryum stoi dwadzieścia kilka fortepianów darowanych przez Boesendorfera, a kiedy po zmowie robotników podniósł cenę płacy, nie podniósł jej na cenach fortepianów. Postać oryginalna w swoim rodzaju, jakiej się nie spotyka dziś w społeczeństwie wszystko na groszu opierającem. Miło podnieść zasługę człowieka, któremu artyści tyle mają do zawdzięczenia. Chcieliśmy na tem skończyć o koncertach—niepodobna—oto leży stos programów, a każdy się zda prosić: mnie weź, mnie jeszcze upleć do wianka twych wspomnień uroczych, i moje tony do najpiękniejszych chwil ci się przyczyniły. Podnosimy jeszcze koncert akademii śpiewu a w nim Palestriny: *Tenebrae factae sunt*, chór 5-ciu głosowy, jeden z najbardziej wieszczych tworów Palestryny. Niepominę mistrzowskiej deklamacyi panny Baudius, artystki z Burgu. Wygłosiła wiersz Hebbla, oddający chwilę, kiedy dziecko, którego mamka usnęła, nieświadome otchłani, biega swawolnie po cembrzynach bezdennej studni, spostrzega na dnie cień swój, igra z nim, mały przyjaciel wabi go śmiejąc do siebie, dziecko przechyla się... przeraża czarną głębią—i znowu nieświadome niczego biegnie do śpiącej piastunki. Wiersz ten oddany był z przejęciem i prawdą, która do końca odetchnąć nie dała — kwiaty nagrodziły artystkę.

Drugą część koncertu wypełniła muzyka Schumana do Wilhelma Meistra. Partyę Mignony śpiewała panna Magnus z przejęciem się tą rolą; znakomicie ujęła krótki rys charakteru Filiny pani Passy Cornet, a partyę Harfiarza majestatycznie oddał pan Schmidt. Rozrzewniło wszystkich programowo ujęte „Requiem za Mignon.“ W drugim koncercie akademicznym z wielką przyjemnością słuchano śpiewu pani Maryi Grottger (siostry Artura). Artystka przyniosła zaszczyt swej mistrzyni (pani Passy Cornet) odśpiewaniem aryi Donizettego z „Don Sebastian.“ Głos jej nabrał dźwięku, siły i porywającego wyrazu. Pani M. G. podobno do Włoch się udaje; nim ją usłyszą Włochy, czyż nie powinnaby odwiedzić stolicę Polski, z którą tak niezatarte łączą ją wspomnienia? Obok koncertów wspomnianych słyszeliśmy znakomity, co się zowie, koncert profesora Śmietańskiego, pianisty, Krakowianina. Programem i grą swoją zdobył on słuchaczy wstępnym bojem; zrazu przeszkadzała mu obawa, którę zwalczył bohatersko. Sonata (G-moll) Schumana, Fuga Bacha (a-moll Liszt), Sonata (B-moll) Chopina, Scherzo Rubinsteina, waryacye Brahmsa i własne kompozycye, z wielką precyzyą i owładnięciem instrumentu połączone zjednały mu na zawsze imię muzykalne w Niemczech. Dlaczego pan Śmietański szukać musi posady u obcych? czy mało w kraju po temu miejsca? ani Warszawy ani Lwowa nie odwiedził... Czasy, kiedy Chopin, Lipiński, Dawizon nieuczczeni odrazu tułać się musieli, aż zabłysnęli i pozostali u obcych, już minęły. Jest w kraju kilku artystów prawie nieznanych szerzej. P. Zarzycki ledwie o Lwów potrącił, nie dość tam oceniony. P. Żeleński znakomity już dziś kompozytor ani się we Lwowie pokazał, kilku innych we Francyi i niewiem gdzie, walczy z cudzą zawiścią — „hej ramię do ramienia“ niech nam będzie hasłem, biada temu ktoby zmarnił lub dał zmarnić swe siły... czas już by kraj miał rodzimych artystów na posadach krajowych, a to nas uwolni od wielkich ludzi z małego miasteczka. Koncert na ubogich dany w Tow. filharmonijnem, przyniósł prócz koncertu (G-dur) Beethovena (Rubinstein) uwerturę i międzyakty z opery Glinki „Kniaź Chołmskoj.“ Glinka równie, jak przed nim Rimski Korsaków, zrobił małe fiasco. Ostatni bardzo niesłusznie.. utwory jego mają wiele wartości muzycznej i szatę zewnętrzną najstaranniej, świetnie nawet opracowaną. Wolimy wprawdzie jego „Kamarińskaja“ słyszaną gdzieindziej, ale entreakty „Chołmskiego“ mianowicie „valse noble“ kiedyś będą wysoko cenione.

Ostatni koncert filharmonijny obok wspaniałej uwertury „Hybrydy“ Mendelssohna-Bartholdy i koncertu C dur Beethovena (Jael) przyniósł dawno upragnioną „Symphonie phantastique“ Hektora Berlioza, tego arcymistrza instrumentacyi, o myślach i pomysłach, które może w XX wieku dopiero, gdy do nich publiczność dojrzeje, dostatecznie zrozumianemi będą. Muzyka to programowa takiej tęsknoty za ideałem i genialnej potęgi form, jakiej

nie mamy. Składa się z pięciu części. Część I. Treść życia duchowego młodego artysty, który w kobiecie napotkanej w życiu przeczuwa swój ideał (temat C-dur przewodni); uczucie szczęścia, radości, boleści, tęsknoty aż do rozpaczy i szczytów modlitwy, szczeblują na przemian po wyżynach duchowych i falami tonów piętrzą się w nieskończoność, jak rozhukane morze. Część II. Bal— do koła świetność, wrzawa, temat allegro instrumentowany z delikatnością puszków skrzydła motylowego—on sam, ona nieobecna —wszędzie mu jest obecną. Część III. Scena idyliczna—pola, góry i lasy, kobzy, fletnie pastusze, uczucie nadziei ożywia serce stęsknione, fletni pastuszej nie odpowiada oczekiwane echo, odzywa się tylko grzmot daleki. Część IV. Pewien jej utraty truje się młodzieniec, jednak nieświadomy składu trucizny, zasypia tylko snem okropnym. Śni mu się, że jest mordercą swej kochanki, idzie skazany na gilotynę (marsz na rusztowanie,) tłumy, temat pierwszy odzywa się smętnie ostatni raz... gdy topór opada. Część V. Wizya sabbatu czarownic. Widma, szatany, furye stanowią pogrzeb młodzieńca, widzi stwór swej kochanki, ale w postaci Gorgony — z dzikim śmiechem wpleciona w ogniste girlandy kołujących duchów gubi się w wściekłych podrzutach — bije dzwon żałobny, karykatura *Dies irae* chórem się odzywa, taniec sabatu—połączenie obu motywów i pierwszy temat zapadają w nieskończoność. Jak niegdyś osobę, dziś dzieło Berlioza przyjął Wiedeń z zapałem gwałtownym. Tylko życie jego może być kluczem do jego utworów. Dość powiedzieć, że Niemcy a nie Francya za życia go oceniły. Z nowych jego pamiętników widzimy, że żaden artysta świata takim nie był męczennikiem, żaden nie miał do targania takich więzów Laokonowych, dość z pamiętnika przeczytać wszystkie „szelmostwa" (sic!) Cherubiniego na nim dokonywane w młodości, od których nie był wolny i Halevy splamiwszy tak swoje na zawsze w sztuce arystokratyczne nazwisko. Nie tu miejsce rozwodzenia się nad tem, później podamy wam krótki ale przystępny ustęp z dzieła Berlioza „Soirées d' orchestre," w którem, co przeszedł, ukrywa pod postacią Celliniego. Życie Berlioza jest gorzką jak całe morze nauką o świecie i ludziach, świadczącą, że artysta powinien stąpać jak św. Małgorzata Rafaela po hydrze zbiorowej, że ideałowi piękności (który tylko prawdy i dobra przeobrażeniem) powinien dogmatycznie wierny a samodzielny pozostać, głuchy na resztę, czy na pochlebstwa czy na szyderstwa, tak jak cieleśnie ogłuchłszy Beethoven w sobie słyszał i snuł niebieskie harmonie—że powinien jeżli mu się da uczuć w sumieniu niesprawiedliwość, powtarzać stare przysłowie greckie: „Łatwiej dziewięciu mędrców areopagu uznać dzieło godnem uwielbienia, niż swego uznania godnem uzna je... jeden osioł,"—że choćby nie ujrzał zwycięstwa, w sztuce równie jak w polityce stać należy na orlich szczytach przekonań niezwalczonych, do których nie dolata żaden jastrząb ani żaden dudek, ani trychina żadnego pseudo-koryfeusza — słowem, jak swego czasu Tycyan, kiedy mu mnisi odesłali do poprawy jego boską Assuntę, nie znajdując jej dość wylizaną a on pod swojem fecit podpisał drugie fecit i obraz odesłał—tak samo jak Mozart (dykteryjka Maurycego Hauptmana) który swemu uczniowi Hummlowi, gdy tenże raz mu się użalał, że w jego wieku już nie robił biernych zadań, odrzekł krótko a węzłowato: Bo ja się nikogo nie pytałem o pozwolenie... Tych kilka myśli nasunęły nam dzieła Berlioza.

Krytyka tutejsza muzykalna wielką stratę poniosła ze śmiercią sumiennego Dra Hirscha, liryka poety i korespondenta dzienników. Umiał on pochwałą nie zepsuć, naganą nie zniechęcić, a torować drogę młodym talentom. Z publikacyi księgarskich godne wspomnienia piękne wydanie „Tryumfu Alex. Wielkiego" Torswaldsena i pośmiertne dzieło Genellego. Życie jego malarskie podobne życiu Berlioza. Kiedyś pragniemy osobne studyum poświęcić temu wielkiemu artyście, illustratorowi Danta i Homera, porównaniem go z Flaxmanem, Carstensem i Dorém. Ciekawa równie książka o Sykstyńskiej kaplicy wzbogacona dokumentami i datami muzycznemi. Dalej *Bunte Blätter* Ambrosa, szkice muzyczne i artystyczne w ogóle o Włoszech (Campo santo); ma on tę wielką zasługę, że muzyk specyalista po za muzyką nie jest ciemny jak tabaka w rogu, owszem wszechstronnie pouczający. Wreszcie tom IV głośnego dzieła Carriera: *Die Kunst und die Ideale der Menschheit.* Tom ten dotyka najciekawszych momentów renesansu w Europie; ciekawą byłaby parallela jego z estetyką Fischera, jako książki anti-Heglowskiej i niemniej z pomnikową, może najznakomitszą o renesansie księgą Burkharda. Prelekcye publiczne profesorów uniwersytetu w akademii handlowej poczęły się wykładem prof. Lützowa „o Partenonie." Prof. Zimmermann przygotowuję podobno głębokie studyum niemieckie nad Irydyonem. Zresztą życie skupione umysłów, rąk i kapitałów krząta się już około wystawy świata. Cieszkowski, nasz wielki rozmyślacz, powiedział, że jak w średnich wiekach duch zdeptał materyę, a dziś materya pomściła się na duchu, tak w przyszłości oboje się zrównoważą w zgodnej harmonii— o ileśmy tego bliscy czy dalecy obejrzymy w części na tej wystawie. Wybaczcie, że chcąc być dokładnym, nie mogłem być zwięźlejszym.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

LITERATURA I ESTETYKA. Dr. *Wład. Skrzydylka* przygotowuje do druku *Zbiór przysłów i przypowieści Andrzeja Max. Fredry*, zestawiwszy wszystkie ich edycye (od r. 1658).

— *W Tygodniku Wielk.* rozpoczął się druk pięknego odczytu *Wincentego Pola: „O usiłowaniach artystycznych wieku naszego."*

— *Paul Albert. Littérature française des origines au XVI siecle.* Hachette. Paris 1872. Podręcznik dla pragnących rozpocząć głębsze studya nad tym przedmiotem.

PEDAGOGIA. Nakładem Karola Wilda wyszła właśnie z pod prasy, obecnie w szóstem już wydaniu, *„Geografia powszechna" Gaultiera* na nowo przejrzana i poprawiona z uwzględnieniem najnowszych zmian terytoryalnych przez *Łucyana Tatomira.* Książka ta w dzisiejszym swym układzie jest może najlepszym podręcznikiem dla szkół średnich, gdyż obok wiadomości wchodzących ściśle w zakres geografii, znajdzie tam uczeń sumiennie zestawione daty statystyczne, wiadomości o formach rządu i konstytucyach a wreszcie potocznie opowiedziane początki kosmografii. Mogłaby więc zastąpić używane dotąd w szkołach podręczniki Bellingera i Markiewicza, które już dawno z rąk młodzieży usunięte być powinny, pierwszy dla swej oschłości, drugi dla wielce zaniedbanego języka. Z przyjemnością możemy tu jeszcze donieść, że nakładem tejże księgarni wkrótce wyjdzie *„Geografia dla użytku seminaryów nauczycielskich"*, dziełko bardzo pożądane, dotąd bowiem nie posiadamy żadnego, któreby odpowiadało potrzebom szkoły kształcącej przyszłych nauczycieli ludowych.

TEATR. *Repertoarz teatru lwowskiego w przyszłym tygodniu.* Poniedziałek: *Prolog — Śluby panieńskie* czyli *Magnetyzm serca — Łobzowianie;* Wtorek: *Halka;* Sroda: *Otello;* Czwartek, 1-raz: *Nerwowi;* Piątek: *Nerwowi;* Sobota: *Faust;* Niedziela: *Zbójcy* —

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ułanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.